Nr. 15. We Lwowie dnia 11. kwietnia 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

EDWARD JELINEK.

KRASZEWSKI.

(Ze zbiorku „Odwiedziny Słowian.“)

Z czeskiego przełożył Dr. Fr. Krczek.

OD TŁUMACZA.

Żałośnem echem odbiła się wieść o śmierci Edwarda Jelinka w sercach polskich, bo z nim zstąpił do grobu nietylko człowiek charakteru nieskazitelnego, słowiański marzyciel najszlachetniejszego pokroju, lecz także najgorętszy pośród Czechów przyjaciel Polaków, najlepszy znawca Polski i stosunków polskich, najdzielniejszy obrońca sprawy polskiej wśród bratniego narodu. Wychowanek wielkich idei romantycznych Kollara o wzajemności słowiańskich narodów, starał się po myśli Hawliczka ściągnąć je ze sfery rojeń nieuchwytnych, sprowadzić na ziemię, ucieleśnić je i stworzyć im podstawę bytu. Pisało się i mówiło i przed Jelinkiem mnóstwo o „zgodzie czeskopolskiej“, jako jednym z najprzyrodzeńszych stosunków międzyplemiennych. Dopiero on wykazał, jak bezpłodnymi były te elukubracje, którym brakło znajomości tego, co łączy, a co dzieli oba pobratymcze narody. Niepoprzestając zaś na krytyce wad i błędów w broszurach takich, jak „Idea słowiańska w Czechach“ (1881), „W sprawie zgody czeskopolskiej“ (1887 po czesku), „Rzeczy polskie“ (1883 po czesku), budował sam pomost między obu narodami pod hasłem: „Poznajmy się!“ Zaznajomił się więc przedewszystkiem dokładnie z językiem i literaturą polską, w ciągu lat dwudziestu kilku przejechał Polskę wszerz i wzdłuż od Kijowa aż do Gdańska, od Poznania aż po błota pińskie, od Krakowa i Lwowa aż po Wilno, śledził ruch literacki nasz i narodowy ciągle, a co spostrzegł charakterystycznego, ogrzawszy przy swej gorącej piersi, przelewał na papier jasnemi barwy i rozpowszechniał między Czechami wszech barw i odcieni. Tak powstały liczne serje „Szkiców“: warszawskich, litewskich, polskich, ukraińskich, w nowelistycznej szacie zaznajamiające Czechów z duszą polską. Głębsze i poważniejsze studja złożyły się na „Zapomniany kąt słowiański“ (Kaszuby) i „Pogląd na Litwę“. Co widział dobrego u Polaków, a podziwiał między innymi życie rodzinne i towarzyskie, upośledzone u jego ziomków, podawał, jako przykład do naśladowania, w powieściach („Dla towarzystwa“), lub w artykułach dziennikarskich, którymi zasilał *Pokrok, Hlas naroda, Narodni listy,, Lumir, Zlatou Prahu, Swietozor* itd.

Wzajem polskich czytelników pism *(Kłosów, Przeglądu tygodniowego, Tygodnika ilustrowanego, Kraju, Czasu, Dziennika poznańskiego* itd.) informował w stałych korespondencjach o postępach życia umysłowego i narodowego czeskiego. Ostatnimi zaś czasy dał im ogólniejsze obrazy z tego zakresu w „Listach o społeczeństwie czeskiem“ i „Listach o rzeczach morawskich“.

Szukając w przeszłości zalążków myśli słowiańskiej, wydobywał z ukrycia jej ślady i ogłaszał wyjąki z korespondencji Wacława Hanki z Polakami (Rościszewskim, Działyńskim, W. Cybulskim), a w uzupełnieniu swego najlepszego dzieła „Polskich pań i dziewic“, (które wyszło też w przekładzie polskim M. Grabowskiej) ogłosił piękną monografję o bratanicy nieszczęsnego Teofila Wiśniowskiego, Honoracie Zapowej, która poślubiwszy Czecha,

ważny wpływ wywarła na ruch kobiecy w Czechach około połowy bieżącego wieku.

Czynność autorska jednak to bynajmniej nie alfa i omega pracy życia tego człowieka, — życia, niestety, przedwcześnie zamkniętego (w 42 roku). Owszem to część jego mniejsza. Większą stanowiły osobiste stosunki, które umiał nawiązywać z całym światem słowiańskim, a przedewszystkiem polskim, i utrzymywać na korzyść sprawy ogólniejszej. Iluż to drogami, ukrytymi dla oka przeciętnego postrzegacza, umiał zachęcać to Czecha do zajęcia się przekładem polskich mistrzów słowa, to podsunąć Polakowi myśl napisania rozprawy o jakiejś rzeczy czeskiej, to przygotowywał opinję publiczną na jakiś ważniejszy wypadek w życiu drugiego narodu, to organizował komitety do przyjmowania gości polskich nad Wełtawą, lub też wycieczki Czechów do Polski, to... et, nie zliczyłby tego wszystkiego.

A to poświęcenie wreszcie, z jakiem gromadził dokoła siebie książki, pisma, broszury polskie lub rzeczy polskich dotyczące, z jakiem porządkował tysiące listów najwybitniejszych slawistów i pisarzy słowiańskich w swych tekach! Obie rzeczy — księgozbiór polski i korespondencję słowiańską złożył w zbiorach Muzeum królestwa czeskiego, zyskując sobie tem niespożytą wdzięczność tych Czechów i nie Czechów, którzy w Pradze, jako w sercu Słowiańszczyzny szukając informacji o Polakach, dotychczas spotykali tam w tym kierunku lukę z powodu nagannej naszej obojętności wobec „braci Słowian“.

Równym zaś uczuciem darząc swych ziomków i nas, nie zapomniał też podobnego daru ze swego księgozbioru czeskiego uczynić książnicy jagielońskiej i zakładowi narodowemu im. Ossolińskich.

Czyż za tyle miłości nie należy się cieniom tego Czecha wdzięczność i to nie mała? Czyż nie powinna ona objawić się z naciskiem widomym? Nie pytam — jak przekonuję się z głosów pism polskich — po próżnicy. Chodzi tylko o myśl praktyczną uczczenia pamięci zmarłego. „Związek literacki“ w Krakowie proponuje coś w rodzaju pomnika, czy tablicy. Nie przeczę — myśl piękna, oby się w czyn zmieniła. Co do mnie śmiem sądzić, że największym dowodem pamięci naszej o zmarłym byłaby pamięć o oddziale polskim, który on — rzec można — stworzył w książnicy Muzeum czeskiego. Niech każdy autor polski posyła po jednym egzemplarzu prac swych do „Muzeum królestwa czeskiego“ (Praga Waclawské namiesti), niech każdy, mający zbędne dzieło, pismo, lub broszurę, zamiast sprzedawać je za bezcen, pomni, iż nad Wełtawą jest instytucja, w której dzieło to będzie spełniać misję ważną — misję zapoznania Czechów i innych Słowian z Polską i Polakami, a temsamem jednać nam przyjaciół, a tych nigdy nie mieliśmy za wielu!

Dla scharakteryzowania sposobu pisania Jelinka o rzeczach polskich wybrałem szkic o Kraszewskim — jak sądzę — aktualny wobec dziesiątej rocznicy śmierci tego pisarza i w skróconej formie podaję go w przekładzie wiernym

Moi przyjaciele za-uralscy.

(Z notatek wygnańca).

(Ciąg dalszy.)

— Masz tobie! — pomyślałem — znowu ta sama piosnka; wciąż koń skradziony i ta sama chęć sprzedania go.

— Kup, kup! — nalegał ciągle jeździec — i raptem, jakby wyobrażając sobie, że ma na mnie sposób nieomylny, dorzucił z tryumfem w głosie:

— Owsa nie potrzebujesz kupować... ukradnę i dam...

Ah! tego było za wiele! podobnie szczerej zachęty nie oczekiwałem, parsknąłem więc mu śmiechem wprost w oczy.

Nie wiem, czy mu się śmiech mój nie podobał, czy może dziwnym wydał się jegomość, co nie rozumiał tak idealnych warunków kupna, a może chciał poszukać lepszych nabywców: słowem, że zaczął się na koniu kręcić i oczkami przenikliwemi świdrując przestrzeń, zdradzał chęć pożegnania mnie. Skorzystałem z tej chwili, by go pożegnać. Kirgiz pamiętał widocznie o tem, żeśmy go do siebie prosili na „czaj“, gdyż ściskając mi dłoń, zapytał:

— A na czaj można do was przyjechać, jak bazar się skończy?

— Można, można — odpowiedziałem pośpiesznie, chcąc się raz już uwolnić od natręta.

* * *

Kirgiz nie odczuł nieszczerości moich zaprosin i po „bazarze“ wstąpił do nas na czaj. Trudna rada, trzeba było gościnność mu okazać. Rozgościł się u nas prędko, wesoło gawędził o sprawach jarmarcznych, rozglądał się pilnie po naszem mieszkaniu, podziwiał, cmokając ustami, rozmaite, nieznane mu, przedmioty, nadewszystko jednak raczył się „czajem“, — ulubionym napojem swego plemienia.

Chciałem, swoim zwyczajem, zabarwić rozmowę pierwiastkiem politycznym i z tej szczerej duszy stepowego koczownika, wydobyć jakąś ciekawą prawdę, jakieś wyznanie, rzucające światło na to, jak się jego współplemieńcy zapatrują na własne położenie. Rozmowy takie należało prowadzić w sposób bardzo prosty.

czytelnikom polskim. I do charakterystyki Kraszewkiego szkic ten zawiera niemałoznaczne szczegóły.

(C. d. n.).

Ze sztuki.

Pośmiertna wystawa dzieł Pruszkowskiego.

Przez lwowską wystawę sztuki przemknęło coś, jakby kometa, przerywająca jednostajność codziennego artystycznego widnokręgu. Była to zbiorowa pośmiertna wystawa obrazów Witołda Pruszkowskiego. Wystawa ta nie zasługiwała ani na nazwę kompletnej, ani dokładnej nawet, nie zgromadziła bowiem choć w przybliżeniu wszystkich dzieł zmarłego artysty, ani też nie ogarnęła ogółu najznamienitszych, typowych jego utworów. Brakło tam takich obrazów, arcydzieł można powiedzieć, jak: „Mróz“, „Pochód na Sybir“, „Śmierć Ellenai“, „Eloe“ i inne; w każdym razie pozwoliła jako tako widzowi odczuć istotę zmarłego artysty, oddawała też dość wiernie nastrój, jaki tego rodzaju wystawy wywołują.

Jeden ze zwiedzających wystawę Pruszkowskiego wyraził się, że „takie przyglądanie się szeregowi prac zmarłego artysty, to coś jakby przechadzka po cmentarzu“. Zdanie może bardzo poetyczne i efektowne, ale z gruntu nie prawdziwe. Wystawa bowiem tego rodzaju czyni może wrażenie bolesne, przykre aż nawet, mimo, że się na nią składają, jak tym razem, dzieła niepospolite, ale uczucie niema w sobie nic a nic wpólnego z owym dreszczem, który nas przejmuje na widok śmierci. Owszem ma się przed sobą życie, spotęgowane życie, bo skupione w owocach swoich na małej przestrzeni; ma się zebrany w jednym pokoju cały niemal ból tworzenia, jaki artysta przechodził, dzieło po dziele, obraz po obrazie, przez lat szeregi; wystawa więc taka robi wrażenie ogromnego wytężenia sił, szalonego pasowania się z czemś wielkiem, nieznanem, a przeważnie ciążącem na duszy człowieka.

W innych warunkach, osobno widziany, ten i ów obraz, dajmy na to kredkowy „Portret Bałuckiego“, olejny „Portret żony“, „Wieczór“, „Sielanka“ lub „Gwiazda spadająca“ pastel jak: „Jabłoń“, „Chrystus“ lub „Skrzypki zaklęte“ uczyniłyby na widzu mniej lub więcej skończone wrażenie artystyczne, zadowoliłyby mniej lub więcej, wywołały może zachwyt nawet i na tem koniec.

Inaczej się jednak przedstawiają, gdy się je widzi w otoczeniu dzieł z rozmaitych epok twórczości malarza, z rozmaitych stopni jego artystycznego rozwoju. Wtedy bowiem przez porównanie ich cech wspólnych i różnic widzi się, jak artystę opanowywały: jakaś teza, pomysł techniczny, lub nastrój, jak rzucał je na

---

— Ruskich lubisz? — zapytałem nagle naszego gościa, gdy już opił się herbatą, jak bąk i, z zadowolenia, to cmokał, to chuchał na palce.

Nic nie odpowiadał na pytanie, oczy tylko mrużył i popatrywał na nas z głupia — frant.

— Kozaków, czynowników ruskich lubisz? — powtórzyłem znowu dobitnie...

— A Bolak nie Ruski? — zapytał, nie odpowiadając wprost na pytanie.

Zaprzeczyliśmy stanowczo.

— A Bolak Ruskich lubi? — pytał dalej.

Zaprzeczyliśmy znowu.

— To i Kirgyz nie lubi Ruskich!

— Twoja Kirgyz nie znasz — ciągnął dalej, jakby odpowiadając własnym myślom. — Bolak nie lubi Ruskich, ale Bolak koni Ruskim nie kradnie, Kozaków nie bije... A Kirgyz kradnie konie i Kozaków napada. Kirgyz zna, jak nie lubić Ruskich... Kirgyz nie przepadnie... — zakończył z głębokiem przekonaniem w głosie.

— A na wojnę przeciwko Ruskim poszedłbyś? — zapytałem znowu, nadając inny zwrot rozmowie.

— Na wojna — powtórzył i pokiwał głową — na wojna? — po co?... nie, Kirgiz nie trzeba na wojna. Kirgiz umie kraść konie i z nienacka napadać Kozaków... „Baranta“ *) lepsza od wojna... Na wojna trzeba dużo ludzi... Kirgiz woli w nocy podchodzić tabuny kozackie i, pociemku, uderzać Kozaka nożem...

Nasz stepowy gość zaczynał na dobre się wypowiadać. Ostatecznym jednak wnioskiem, wszystkich jego politycznych wywodów było: „że Kirgyz nie przepadnie“ i że „Baranta“ — to niby wojna święta, nieustanny odwet na wrogach.

Gdy mówił o tem, czuć było w głosie jego jakąś nieprzejednaną zaciętość; widocznem było, że innego stosunku do Kozaków, tj. do tych, którzy kraj jego najechali i zdobyli, trawę stepów macierzystych stratowali, powietrze wolne zatruli uciskiem, a jego swobodę orkanem spętali, nie rozumiał i nie uznawał.

*) Nocna kradzież tabunów końskich. Kirgizi chlubią się tego rodzaju wyprawami i szukają w nich sławy.

papier lub płótno, jak, niezadowolony, powracał do tego samego raz, drugi, dziesiąty, ile prób i zwątpień musiał przejść, zanim trafił na punkt właściwy. W ten sposób niejeden z widzianych obrazów, co kiedy indziej sam dla siebie, czynił spokojne, zaokrąglone wrażenie dzieła sztuki, tu zmienia się w bolesny etap w rozwoju talentu.

Jakież było owo dążenie, które Pruszkowskim owładnęło? Czy to było usiłowanie osiągnięcia jak największej plastyki w oddawaniu świata zewnętrznego i nic ponad to? Nie! — A może to była tendencja — owe mylne przekonanie, że mozolnie wybranymi, tzw. literackimi, tematami będzie wpływał na społeczeństwo, uczył je, jak np. chciał to czynić Matejko przez swe obrazy? I to nie! bo jedyny na pośmiertnej wystawie obraz historyczny przedstawiający Łokietka, nietylko nie należy do najznakomitszych prac Pruszkowskiego, ale nawet nie do typowych i przypomina raczej Gersona.

Dążenie Pruszkowskiego, widniejące z porównania dzieł jego, wskazuje, że pojmował on, jak nikt inny u nas od czasu Grottgera, zadanie prawdziwego artysty-malarza, poety-malarza, jeśli się wolno tak wyrazić. Dążeniem tem było owe nastroje, owe poetyczno-malarskie uniesienia, jakie się w jego duszy pod wpływem świata zewnętrznego budziły i gasły, ująć, zdać sobie z nich sprawę, i wynalazłszy właściwą, odpowiednią technikę malarską, przez obrazy wywoływać je powtórnie w duszach widzów.

Nie odrazu znalazł Pruszkowski ową odpowiednią technikę, a nawet materjał malarski. Zrazu przypominał tego lub owego artystę swojego, czy obcego, próbował to skrupulatnej benedyktyńskiej pracowitości, jak w niektórych dawniejszych portretach, lub impresjonistycznej swobody, jak w portrecie własnym, posługiwał się kredką, węglem, akwarelą, farbami olejnemi, aż skończył na pastelach, tworząc niemi najznakomitsze, najbardziej typowe swoje dzieła. Ten materjał, najmniej krępujący wprawnego malarza, pozwalający na rozwinięcie największej szybkości w malowaniu, nadawał się najlepiej do oddania pomysłów i nastrojów, które nieraz nie w miesiącach i tygodniach, ale w dniach kilku lub kilkunastu po powstaniu w głowie artysty, bledną i przekształcają się, które zatem trzeba chwytać doraźnie, na gorąco.

Mniej więcej równomiernie z przechylaniem się ku pasteli idzie pod względem tematu przechylanie się Pruszkowskiego ku temu, co zwiemy symbolem w najlepszem słowa tego znaczeniu.

Symbol — niesłusznie i niesprawiedliwie mieszany przez wielu z alegorją, powinien być ostatecznym celem i zadaniem sztuki. Różni się zaś on od alegorji tak, jak się różni okrzyk uczucia od retorycznego zimnego frazesu. Alegorja bowiem jest to przedstawienie abstrakcji za pomocą konkretnych form, dajmy na to pojęcia „sprawiedliwości“ przez postać kobiecą z zawiązanemi oczyma, z mieczem i wagami w ręku. Symbol to rzecz konkretna, w konkret-

---

Swoim wszak koni nie kradł — Baszkirom pokrewnym także — dobytku nie rabował, nie zabijał... Jeżeli więc dopuszcza się tego na Kozakach, musi w tem być coś niezwyczajnego, jakiś obowiązek wyższy, coś, co przechodzi jego wolę indywidualną — to, czego domagał się dla siebie nie sam tylko instynkt rabusia. Każda opowieść jego o wyprawach kirgizkich na tabuny kozackie, tchnęła jakąś dumą: chełpił się tem wszystkiem, co było związanem z jego zawodem — koniokrada... Czuł w nas ludzi innych zwyczajów i innych poglądów, nie starał się jednak wcale usprawiedliwić ani siebie, ani swego zawodu. Owszem — starał się w nas obudzić podziw dla tego, co robił on i jego współplemieńcy...

Nagadawszy się z nami dowoli tego wieczoru, pożegnał nas Achmet, mówiąc: że mu czas już do domu, bo „Apajka“ (żona) czeka go pewnie oddawna niecierpliwie, a i dzieci liczą na gościńce jarmarczne. Obiecał nam jednak, że po każdym „bazarze“ zajrzy do nas na „c z a j“. Tak też i robił. Dziwny jakiś węzeł sympatji zawiązał się z czasem pomiędzy nim a nami.

Ten nawpół dziki, surowy syn stepu, czuł się wśród nas jaknajlepiej. Widział w nas ludzi innego jakiegoś szczepu, i innego plemienia, które mu żadnej krzywdy nie wyrządziło, — których nienawidzieć nie miał obowiązku. Wszystkie dobre strony jego szczerej, wrażliwej natury człowieka pierwotnego, występowały dopiero w stosunku z nami. Chytrość i podstępność, dwa przymioty, rozwijane wciąż potrzebą walki z wrogiem, skrywały się gdzieś daleko w głąb ducha i wcale nie występowały...

A wesół był z nami, wesół Achmet Sigiryhajko, jak z nikim. Dowcipów dwuznacznych, dotyczących zwłaszcza Rosjan, domagał się wciąż od nas, a i sam nam ciągle coś wesołego opowiadał. (Kirgizi nad wyraz lubią sprośne anegdotki).

Witał się z nami zawsze jakby z najserdeczniejszymi współrodowcami, podług zwyczaju kirgizkiego, a gdy ujrzał, przypadkiem w mieście, to już krzyczał, zdaleka rozstawiając ramiona:

(C. d. n).

nej formie, a raczej zbiór konkretnych form, których zadaniem jest wywołać ludzkie, głębokie uczucie. Alegorja zatem oznacza zawsze **nie to**, co przedstawia, każe się czegoś **domyślać** poza sobą, symbol **tylko to**, co przedstawia, co jednakże **odczuć** trzeba.

Owoż takim symbolistą, (przepraszam za nazwę tak dziś nadużywaną, a co gorsza fałszywie używaną), umiejącym do głębi widzem poruszyć, był Pruszkowski, a te dzieła, w których owa jego działalność artystyczna się odzwierciedliła, zwracają przedewszystkiem uwagę. Pojęcie, a raczej zrozumienie symbolu, być może, iż zupełnie bezwiedne, rozwijało się w Pruszkowskim stopniowo. Aby się o tem przekonać, dość porównać jedne z pierwszych niezawodnie z wystawionych dzieł jego jak „Smok wawelski“ (olejny), gdzie zostając pod widocznym wpływem znakomitego Szwajcara Böcklina, przedstawił potwora, wysuwającego się z ziejącej ogniem pieczary ku poświęconej mu na ofiarę dziewczynie wiejskiej, pogrążonej w jakiemś hipnotycznem odrętwieniu, lub dość jeszcze zawiłą „Gwiazdę spadającą“ (olejny), z ostatniem może, lub do ostatnich należącem dziełem „Sielanką“, również obrazem olejnym, gdzie absolutna prostota środków i układu: chłopak przygrywający wieczorem na fujarce u stóp dziewczęcia, nie przeszkadza w osiągnięciu zamierzonego symbolu tj. wywołania uczucia błogości i spokoju.

Pomiędzy tymi dwoma końcowymi punktami przewija się cały szereg dzieł innych, że o nie wystawionych obecnie nie wspomnę. A więc na nazwę symbolów malowanych zasługują i obraz olejny „Wieczór“ przedstawiający postać kobiecą, wyłaniającą się z mgieł, wstających nad błoniami i „Jabłoń“ i „Wianki“, i „Chrystus“ z dziwnie piękną głową bez banalnej aureoli, ale z tajemniczym blaskiem, bijącym z twarzy — wszystko pastele o takiem wykonaniu i o takiej sile plastyki, jakiej w tego rodzaju malarstwie u nas nikt dotąd nie osiągnął.

Osobna wzmianka należy się „Skrzypkom zaklętym“ wielkiemu pastelowemu tryptykowi. Symbol wprawdzie w nim miesza się potroszę z alegorją, jednak okupuje to stokrotnie wykonaniem i pełnością nastroju. Część pierwsza tryptyku przedstawia wiejskiego chłopaka, który zapatrzony przed siebie, gra na skrzypkach i idzie, aż zaszedł nad brzeg bagniska. Na obrazie drugim, ten sam krajobraz za tło służy, tylko większa nad nim groza osiadła. Wieczór rozściela się głębszy, a chłopak zapada się już po kolana w grząskie błoto, lecz gra ciągle i twarzą zwraca się ku ukazującym się po za nim mglistym postaciom. Obraz trzeci — to noc. Mgła otuliła ziemię. Nad topielą, która chłopca już pochłonęła, unoszą się błędne ogniki i jakieś duchy z mgieł powstałe. Na wierzchu bagniska jako jedyny ślad po topielcu pozostała czapka i skrzypki...

Na tym opisie symbolu, który, kto wie, czy nie jest także symbolem życia Pruszkowskiego, kończę, bez zapuszczania się w bjograficzne szczegóły i statystykę jego obrazów. Bo czem że jest grzebanie w metrykach i papierach i sucha, martwa statystyka wobec tego, co niezrównany artysta w swych dziełach nam pozostawił i wobec świeżej jeszczej jego mogiły?...

Jan Zgoda.

MICHAŁ WOŁOWSKI.

OBCY.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy).

Tą drogą biegał pan Bronisław często wtedy, kiedy był dzieckiem i wtedy kiedy młodzieńcem został.

W Brzezinkach był takiż dworek, jak w Zielonej, takiż dziedzic z wąsami zamaszystymi, siwymi jak jego ojciec, tacyż ludzie i takież obyczaje, ale wszystko to razem, dla niego przynajmniej, nie miało takiego powabu, jak dwoje prześlicznych czarnych oczów panny Wandy Kleckiej, córki właściciela tej wioski, podziwianej zresztą za piękność przez całą okolicę.

Wandzia nigdy nie była w tak dobrym humorze, jak wtedy, gdy pan Bronisław w Brzezinkach gościł. Wandzia do niego się śmiała, z nim rozmawiała najrozkoszniej, od niego dowiadywała się, co na szerokim świecie słychać i nie było dwóch ludzi wokoło na mil parę, którzyby co innego myśleli, jak tylko, że Wandzia przeznaczoną jest dla Bronisia, a Broniś dla Wandzi.

Tak też myśleli obaj podobno ojcowie, układając połączenie dwóch majątków pod jednem berłem, gdyż Wandzia była jedynaczką.

Nie zawsze jednak to, co układają ludzie, losy chcą zaaprobować.

Bronisław pojechał w świat, Wandzia pozostała na miejscu z załzawionem okiem i bólem w sercu.

Przed samym wyjazdem Broniś zjawił się w Brzezinkach zadumany i smutny.

Było to latem. Ona odprowadziła go aż do mostku, aż do owej kaplicy.

— Jedziesz więc pan nieodwołalnie? — szepnęła...

— Muszę.

— Pewno tak jest, tak być powinno, skoro tak mówisz.

— Ale wrócę — dodał szybko. — Ojciec sobie tego życzy. Trzeba zobaczyć świat, ludzi, nauczyć się żyć, pracować.

— Trzeba? — z pewnym wyrzutem wyszeptała Wandzia.

— Gdyby nie ten »mus«, czy byłaby siła ludzka, którąby mnie mogła ztąd ruszyć, od Zielonej, od pani..

— To jedź pan, jedź i wracaj — mówiła ona gorączkowo, a pierś jej podnosiła się szybko, w gardle tchu brakowało.

— Pamiętać mnie będziesz?

— Wiecznie!

— O i ja także, do skonania, do ostatniej kropli krwi.

A potem zmrok tak już zapadł, że nikt, tylko ich dwoje i święty Jan z kamienia, stojący w kaplicy wiedzieć mogli, co tam między nimi zaszło.

Wrócili do domu oboje zarumienieni, jakby płakali, oboje jakby wstydzili się światła, spuszczali ku ziemi oczy, ale tak jemu, jak jej w oczach szumiał jeden tylko wyraz:

— Wiecznie!

Na wietrze pisać takie słowa każe przysłowie; gdyby słowo »wiecznie« określało jakiś wyraźny termin czasu, gdyby było godziną, dniem, miesiącem, rokiem nawet, z dobrodziejstwem inwentarza, możnaby takie »wiecznie« przyjmować; ale dziesiątki lat czekania, to już nieco zawiele.

Mogli na takie »wiecznie« liczyć młodzi i zakochani, ale nie doświadczeni i dojrzali ludzie.

Broniś początkowo z dalekich światów, gdzie przebywał, długie listy słał, a równie długo na nie odpowiadała mu Wandzia.

Tak było przez rok jeden, ale w drugim listy stawały się już coraz rzadsze. Bronisławowi tłómaczono nawet, że tam, gdzie przebywał, bardzo nieregularnie dochodzą poczty, a listy giną. Co tu wobec takiego argumentu powiedzieć?

— Ej! ej! zresztą, czyż o tem i mówić warto?... alboż to jedna taka niezakończona idylla ma miejsce na świecie, alboż jeden chłopiec zapomina o dziewczynie, gdy mu wąsy podrosną, a jedno dziewczę o chłopcu, któremu jako podlotek wieczną obiecywało pamięć. Taka to już rzeczy kolej, taki obyczaj ludzki.

Można jednak zapomnieć o tem wszystkiem, zapomnieć nawet na długo, ale wystarczy jedna, choćby najmniejsza iskierka, aby wspomnienie takie w jednej chwili, niby wojska do apelu z martwych powstałe, zakręciły w głowie i przeistoczyły się w pożar gorączki wielkiej.

Tak się stało i z Bronisławem; z chwilą, gdy postawił tylko stopę swoją na ziemi ogrodu, gdy mu stary dąb w oddali zamajaczył; wnet i wszystko przyszło na pamięć, ta niezmierzona poezja owego »wiecznie«, ten czar ciemnych oczów pierwszego ideału i te najsubtelniejsze odcienia miłości młodzieńczej, które raz tylko w sercu człowieka gościć mogą.

Uczuł też przyspieszone tętno krwi i zawrót głowy. Podbiegł do oranżerji, w jednej chwili ją okrążył, mostek na rzeczułce przebiegł tchem jednym i niebawem ujrzał ten sam dworek Brzezinek, w którym tyle słodkich, przyjemnych, rozkosznych chwil przepędził.

Sam sobie teraz sprawy zdać nie umiał z tej siły, jaka go popychała naprzód.

— Wszystkich zastałem tutaj — myślał sobie, — innymi i tu pewnie czas poczynił spustoszenie, poco mi to oglądać, poco krwawić coraz bardziej serce?

Tak szeptał mu rozsądek, gdy do drugiego ucha zda się głosiło serce niewyrozumowany niczem rozkaz:

— Idź!... idź!...

Szedł więc, jak człowiek, całą siłą opierający się wiatrom, które go przecież pchają naprzód.

Tak dobiegł aż do maleńkiej werendy dworku, z której prowadziły drzwi oszklone do wnętrza.

Stając pod niemi, mimo mrozu, który szyby ukwiecił na biało, mógł doskonale widzieć, co się tam w tym pokoju, który niegdyś był salonikiem, działo.

Spostrzegł jakiegoś mocno wychudłego i wysokiego jegomościa, chodzącego szybko, giestykulującego żwawo.

W rogu tego pokoju stał kiedyś fortepjan, którego napróżno teraz poszukiwał bacznie Bronisław.

Zniknął zupełnie, a na jego miejscu stał sporych rozmiarów fotel, na którym w majestatycznej pozie spokojnie odpoczywała poważnej tuszy dama, z pewną apatją wsłuchując się w słowa chodzącego szybko mężczyzny.

Naprzeciwko niej siedział także jakiś jegomość również otyły, jak dama, ruszający od czasu do czasu wąsami i przymrużający oczy.

— To nie oni, tamtych już pewnie na świecie niema, wyrugowano ich ztąd, usunięto, jak piękne lipy naszej drogi, jak wysmukłe sosny naszej Zielonej — mruczał do siebie Bronisław. Co się z niemi jednak stać mogło? ci, pewnie kupili Brzezinki, może co wiedzą o tamtych... wejdę... zapytam...

Od postanowienia do wykonania go przedzieliło Bronisława jedno mgnienie powiek.

Uchwycił za klamkę drzwi i gorączkowo a silnie je nacisnąwszy, wszedł do pokoju.

Chudy pan właśnie był przy drzwiach, tak że wchodzący spotkał się z nim oko w oko i nie mógł widzieć reszty osób tam się znajdujących!

— A co tam?... — chrapliwe wyleciało z ust chudego pana.

— Jestem Bronisław Tyniecki.

— Tyniecki? — powtórzył gospodarz, w intonacji zadając sobie jednocześnie pytanie i zaznaczając zdziwienie.

— Brat Stanisława Tynieckiego — objaśnił Bronisław.

— Aa!... — powtórzył gospodarz, nie ustępując z drogi gościowi, jakby w tej chwili nie chciał go u siebie przyjąć.

Bronisław to jego zachowanie się więcej odczuł, niż zrozumiał i chciał już, przeprosiwszy za swe natręctwo, cofnąć się, gdy nagle zabrzmiało mu w uszach:

— Pan Bronisław?!

Podniósł w górę oczy i spostrzegł, jak jednym silnym ruchem ręki chudy jegomość został usunięty na bok, a przed nim zjawiła się owa pani tłusta z fotelu.

W pierwszym tym wykrzykniku zdawało się, że odszukał tembr znanego mu głosu, ale przecież nie wierzył uszom, chciał oczy swoje przekonać. Wytężał wzrok więc najmocniej, przyglądał się rysom otyłej damy i dopiero gdy w tem badaniu doszedł do jej oczów, w które, jak w niebo, tyle lat patrzał, zawołał:

— To pani, panna.. Wanda!?

I usiadł nieproszony na stołku.

Mogły dąb stary spożyć robaki, mogła kapliczka ze świętym Janem runąć w gruzy, rzeczułka zmienić bieg swego szerokiego koryta, nie wydałoby mu się to wszystko niczem nienaturalnem i niespodziewanem.

Ale ujrzeć ideał swych uwielbień wiotki i eteryczny, w postaci wielkiego wańtucha wełny lub maszyny, służącej do bicia pali na Wiśle, to coś, co równa się uderzeniu pioruna.

Dzisiejsza pani, a dawniejsza panna Wanda roześmiała się na całe gardło, tak, jak się śmieją ludzie prości, ordynarni, pozbawieni wszelkiej delikatności.

— Słyszysz, Maciuniu, pan Bronisław Tyniecki nazywa mnie jeszcze panną Wandą. Fiu, fiu, dawne to czasy.

— A dawne! — automatycznie powtórzył Bronisław i usiłował wstać z miejsca, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

— Co za Tyniecki?! — szepnął chudy jegomość.

— Masz, babo, redutę — krzyknęła pani Wanda — a to ja zapomniałam, że się panowie nie znacie i że moim obowiązkiem jest was zaznajomić. Otóż to jest pan Bronisław Tyniecki, właściciel Zielonej, a to Maciuś Skorodracki, mój mąż... a to ojciec Maciusia, pan prezydent Ambroży Skorodracki.

(Dok. nast.).

Błędy językowe.

15. »Żaden« używamy często na wzór niemieckiego »kein«; mówimy: »To żaden błąd«; zamiast »To wcale nie błąd«; »Pan N. nie jest żadnym matematykiem« zamiast »Pan N. wcale nie jest matematykiem« itp.

16. Po wyrazach *obawa*, *strach* itp. nadużywamy słówka *przed:* »Obawa przed odpowiedzialnością; »Ze strachu przed karą«, zamiast: »Obawa odpowiedzialności«; »Ze strachu kary« itp. Jestto niemczyzna (»Furcht vor«), której unikać należy.

Ze śląskiej ziemi.

(Ciąg dalszy).

Wycieczka zapowiadała się zajmująco. A niemało uroku dodawała jej okoliczność, że na przewodnika ofiarował się nam p. Jerzy Kubisz, kierownik jednej z sześciu szkół, któremi się szczyci wieś Wisła*).

Pana Kubisza, redaktora »Miesięcznika Pedagogicznego«, a zarazem wieloletniego prezesa »Polskiego Kółka Pedagogicznego«, znaliśmy z wieści oddawna i oddawna żywiliśmy dla niego szacunek, jaki wzbudzają ludzie, którzy nie zwykli zamykać sfery swej działalności w ciasne ramki jednostkowych trosk i zabiegów — ludzie, którym wyższe przyświecają cele w życiu. A ponieważ znajomość osobista nie rozproszyła — jak bywa, niestety! — uroku, który zdala otaczał p. Kubisza, więc i teraz spieszyliśmy do jego szkoły z uczuciem radości, jakiej się doznaje, wstępując w progi zacnych a życzliwych nam ludzi.

Szkoła, murowana, okazała, w szwajcarskim stylu, z glorjetką, wznosi się u zbiegu trzech dolin, osrebrzonych falą Wiselek, zamkniętych ścianami wysokich gór. A dzika piękność tego zakątka, wzniesionego na przeszło tysiąc pięćset stóp, tworzy dość niepowszednie tło dla przybytku nauki.

Wewnętrzne natomiast urządzenie budynku, imponująca sala szkolna o siedmiu dużych oknach, pomoce naukowe, zasobna bibljoteka państwa Kubiszów, a w pierwszym rzędzie rozmowa z nimi i ich gośćmi — każą zapomnieć o oddaleniu od centrów ruchu umysłowego, o głuszy leśnej, o górach...

Nam jednak o tych ostatnich przypominał cel wycieczki. Z żalem więc pożegnaliśmy młodą.

***) Na Śląsku gminy własnym kosztem wznoszą i utrzymują swoje szkoły.**

śliczną gosposię, której było bardzo do twarzy w stroju ludowym*) i ruszyliśmy wązką doliną Czarnej Wisełki, ku jej źródłom.

Na lewo od wybornej szosy, którą jedziemy, pnie się w górę — jak zajrzy oko — świerkowy las, na prawo Wisełka, za nią takiż sam las. Samotnie tutaj, cicho. Nie brzęczą nawet owady, nie gędziolą ptaki na drzewach. Tylko druty telegraficzne drgają od czasu do czasu jękliwie, tylko fale Wisełki, sunąc po kamiennych, potwornych stopniach, nie ustają w skardze. Wtem odgłos rytmicznych uderzeń wstrząsa powietrzem, a po chwili spostrzegamy grupę ludzi, składającą się z wyrostków od lat ośmnastu do dwudziestu. Przyodziani wszyscy w szare płótno, przez które tam i ówdzie smagłe ciało przeświera, bosi, kruszą ogromnymi młotami skały, wydobyte z dna Wisełki, aby znakomitą szosę jeszcze lepszą uczynić. To górale z Żywieckiego.

Przybiegają tu przez Magórkę z pogranicznej Kamesznicy, pracują od świtu do nocy, na noc zaś wracają do oddalonej o dwie mile wioski bogatsi o siedm zarobionych szóstek. Po letnim dniu pracy bez gotowanej strawy i dwukrotnej »przechadzce« górskiej, czują się wieczorami tak wyczerpani z sił, że ręka odmawia im posłuszeństwa i „nie chce nieść łyżki ze strawą do ust“. Ale teraz wczesny ranek dopiero, teraz świeci im ożywcze, jasne słonko, więc młodość, kto wie, może od słonka jaśniejsza, wchodzi w swoje prawa i kamieniarze witają niecodziennych gości z właściwą naszym góralom ujmującą wesołością. Bezprzedmiotowe ich rozradowanie przechodzi atoli w formalne uniesienie, gdy się dowiadują, że i między nami „som ludzie z Galicji“, którzy znają nędzę ich wiosek, wiedzą, jaka to siła goni ich do pracy, odrzuconej przez Śląskiego górala...

Idziemy dalej.

Znowu bezludna cisza, tylko niebo, lasy, skały, barwne kwiaty górskie, kryształy i perły wód. Wspaniała scenerja do fantastycznej jakiejś bajki! I nagle, jak w bajce, na zielonej zatoce, wrzynającej się w ścianę lasu, wyrasta chatynka. Nie za kurzej łapce jednak — większa, stylowa, z *wysiadką* (werendą) wzdłuż ściany frontowej. A na werendzie zamiast czarnego kota z żarzącemi oczyma, mleczny królik wygrzewa się w słońcu. I nie stara wiedźma porządkuje tu czarodziejskie zioła, uzbierane na nowiu księżyca, ale gromada hożych dziewcząt wiąże w pęki na zimową paszę dla sarn młode pędy malinowe.

*) Żony nauczycieli ludowych na Śląsku nie przebierają się prawie nigdy „po miejsku“. Ta nic nie znacząca na pozór okoliczność przyczynia się w niemałym zapewne stopniu do wytworzenia godnych zazdrości stosunków, które tu panują między wsią a szkołą.

Z ubrania i mowy poznajemy w nich góralki z Galicji. Przychodzą tu, podobnie jak mężczyźni, na całodzienny trud, ale dostają tylko po dwie lub trzy *szóstki*, bo i robotę mają łatwiejszą i praca niewieścia tańsza.

Gospodarz chatynki, gajowy, o bardzo długich i bardzo zwichrzonych włosach, co mu nadaje minę leśnego człowieka, częstuje nas *kiszką* (zsiadłem mlekiem). Dzielimy się wszyscy po bratersku chłodnym, orzeźwiającym napojem. I znowu chwila rozmowy pospiesznej, dorywczej, ale szczerej, ale przyjaznej, — rozmowy, której tajemnicę serdeczną posiada nasz lud, a po której zostaje smuga światła w duszy...

Idziemy dalej.

Wiejące chłodem i cieniem wnętrze lasu pociąga ku sobie. To też na kamiennym gościńcu zostają tylko ci, którzy, nie dowierzając sile swych nóg, postanowili trzymać się wozów, póki można. Wytrzymalsi, czy też może tylko bardziej z górami obyci, puszczają się jedną z leśnych, myśliwskich dróżyn, które tu noszą z niemiecka nazwę »rajtarek«.

Obrana przez nas rajtarka wyprowadza nas wkrótce na brzeżki Czerwienczan. U stóp naszych na przełęczy ściele się zielonem morzem młody świerkowy las, dalej idą, mieniąc się barwami, Beskidy, Karpaty, a hen daleko, na krawędzi, zdaje się, świata, zamykają horyzont i zlewają się z opalowemi obłokami — Tatry. Opadając z podniebnych wyżyn ku ziemi, wzrok spotyka na kobiercu dolin, u potoków i rzek siedziby ludzkie, podobne w oddaleniu do lilipucich pałaców. Widzimy i Olszę, i nasze Izdebne i Jabłonków...

Słońce, ogromne, jaskrawe, jakie bywa przed burzą, leje pomimo wczesnej godziny, żary z nieba. Żywica topi się w jego promieniach i silnym zapachem napełnia powietrze, od rozgrzanej ziemi bije w twarz fala ciepła. Te blaski, te wonie działają podniecająco na organizm, i płyną ku nam z tej ziemi Chrobrego zdroje nieznanej jakiejś mocy, energji, wesela. Zdaje się nam, że jesteśmy i duchem i ciałem o setki mil wzniesieni ponad mrowiska ludzkie...

Złudzenie! Oto na zboczach Przysłupia, na wysokości 2880 stóp, wychyla się z gąszczu leśnego wykwintny pałacyk łowiecki arcyksięcia Fryderyka, właściciela 13 mil kwadr. z onych 39, które stanowią całą powierzchnię Śląska, a w pobliżu pałacyku wznoszą się zabudowania gospodarskie i domki gajowych.

Łączymy się tutaj z resztą naszego towarzystwa i podążamy naprzód szybkim, miarowym, jak na sokolską komendę, krokiem.

M. Wysłouchowa.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie